

## Przemysław Cieślak – *Erica arborea!*

Posłowie do *Kwaterny Bożych Pomyleńców*  
(Warszawa 2008)

Trudno nazwać *Kwaternę Bożych Pomyleńców* powieścią nieznaną. Ukazały się dotąd trzy wydania tej znakomitej książki – pierwsze w 1959 roku i dwa następne w 1967 i 1985. Wszystkie one skażone były jednak grzechem założycielskim komunizmu – cenzurą.

Główny Urząd Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk usunął ze stron 148 i 151–153 obszerne fragmenty relacji Tataro o cudach w Lourdes, usunął dygresję o kondotierach popartą wyimkami z pamiętników Wincentego Płaczkowskiego (s. 187–188) oraz wspomnienia o Aleksandrze Powojczyku (s. 89–90) i Janie Starzy-Dzierzbickim (s. 220–221). Nie zezwolił też na użycie, nawet w najniewinniejszym kontekście, słowa „kacap” na s. 264.

Dysponując oryginalnym maszynopisem, skorygowaliśmy w nim niewielkie niejasności stylistyczne, zachowując naturalnie staroświecki wdzięk wyrażen w rodzaju: „kapsla cynowa” czy „profesor ze zdrowym sensem”, zmodernizowaliśmy i ujednoliliśmy pisownię. Opatrzyliśmy tekst przypisami. Mogłoby być ich więcej, mogłoby i mniej. Niełatwo zadecydować, które okażą się zbędne, a które przydatne czytelnikom młodszym od autora o kilka pokoleń.

\*\*\*

*Kwaterna* została napisana w czasach głębokiego PRL-u, niedługo po przełomie październikowym. Z namysłem, z dozą ostrożności.

Proces odkłamywania stalinowskiej historii dopiero się zaczynał. Nadzieje związane z odwilżą 1956 roku przeminęły szybko. Atmosfera polityczna znów zrobiła się duszna, a bliźni pamięci bolały. Jeszcze nie tak dawno Władysław Zambrzycki pytał (nie znamy adresata, podajemy odpis wysłanego listu):

Gdańsk-Wrzeszcz, 24 IX 46

Szanowny Panie Kazimierzu, piszę ten list, aby uprzedzić, że za kilka tygodni zwrócę się przypuszczalnie do Pana z prośbą o radę, jako do mojego długoletniego kolegi, a być może i z prośbą o pomoc [...]. Chodzi o to, że chciałbym powrócić do dawnego nazwiska. Sprawa wygląda tak.

W jesieni 1939 roku, po zajęciu Warszawy przez Niemców, mieszkanie moje przy ul. Filtrowej 30 stało się przytułkiem dla osób niemeldowanych bądź też meldowanych fałszywie. Potem, przez wiosnę i część lata 1941 roku, pracowała tam, dwa razy na tydzień, krótkofalówka ZWZ.

Pierwszego lipca 1941 roku nastąpiła katastrofa [rewizja gestapo – przyp. P. C.], o której być może Pan słyszał. Zdążyłem wyskoczyć z domu i od tej chwili, aż do końca okupacji, tułałem się po G.G. pod przybranymi nazwiskami. Wreszcie wyrobiłem sobie kenkartę na nazwisko Władysław Borkowski. Pod tem nazwiskiem mieszkam obecnie we Wrzeszczu (Gdańsk) i pracuję jako ekspert-laborant w palarni kawy unrrowskiej.

Wypędzenie Niemców zastało mnie w Krakowie. Na moją opieszałość w staraniach o przywrócenie nazwiska wpłynął ton ówczesnej prasy krakowskiej, dalej – afisze (naprz. miotła, która wymiata insygnia AK wraz z insygniami hitlerowskimi), wreszcie pogłoski o deportacjach. Odłożyłem więc formalności na czas późniejszy i wyjechałem pod Gdańsk.

Tu, na Wybrzeżu, w jesieni ub. roku zaskoczyła mnie choroba, wskutek której byłem do ostatnich czasów unieruchomiony. Obecnie jestem na tyle zdrowy, że mogę przyjechać do Warszawy i wszcząć starania o przywrócenie nazwiska. Liczę przytem na Pańską życzliwą radę i pomoc. [...]

Łączę pozdrowienia i serdeczny uścisk dłoni.

Nie wiemy, co pisarz powiedziałby w wolnej Polsce o Armii Czerwonej czekającej spokojnie po praskiej stronie Wisły na wykrwawienie się lewobrzeżnej Warszawy. Możemy najwyżej domyślać się, że sformułowałby ostre zdania o wyrachowanej zdradzie. Tatar przewidywał krótko: „Będziemy [...] zdobywać [...] niemieckie forteczki, a potem nadejdzie odsiecz”.

\*\*\*

W archiwum rodzinnym zachował się egzemplarz *Powstania Warszawskiego 1944* Adama Borkiewicza (monografii z 1957 roku z podtytułem *Zarys działań natury wojskowej*), poznaczony dziesiątkami uwag i podkreśleń. Zambrzycki wertował go bezustannie podczas pracy nad *Kwaterą*, pedantycznie sprawdzając adresy, daty i przebieg wydarzeń. Operacje militarne odstąpił naukowcom. Sam ograniczył się do oddania nastroju i klimatu sześćdziesięciu trzech buntowniczych dni.

Ważny jest każdy detal powszedniości. Równorzędnie trzeba utrwalić zarówno osobliwy cennik fryzjerski („Golenie 1 Papieros, Strzyżenie 2 Papierosy”), jak i sposób budowania biedakuchni z cegieł w „bezpiecznych” rogach podwórzy. Zarówno smak kaszy-pluj ugotowanej przez panią Sokołowską, jak i syntetyczną obserwację, że w miarę upływu czasu „zjawiały się nowe prawa, przepisy, obowiązki i nowe obyczaje”.

Reporter notuje pilnie. We wrześniu dostrzeże, że „mnóstwo kanarków uwija się wśród potrzaskanych drzew Warszawy. Powypuszczano je z klatek przed wyruszeniem na tułaczkę”.

\*\*\*

Powstanie było czynem głównie ludzi młodych. Bohaterowie *Kwatery*, starsi „stateczni panowie”, rozumieją, że do wybuchu musiało dojść i aczkolwiek „nie ma cudów w bombardowanej Warszawie” – nie złorzeczą. Są solidarni. Konsekwentnie. W początkowej nadziei na zwycięstwo i w ostatecznej klęsce.

Nie trzymają broni w rękę. Ale czy pan Wincenty nie dopełnił cywilnego obowiązku, peregrynując przekopem przez Aleje Jerozolimskie do poparzonej Lucynki? Z tabliczką czekolady od Fruzińskiego?

\*\*\*

Rzeczywistość powstańcza pokazywana na bieżąco, w urywkach filmowych kronik i ruiny wypalonych kamienic komponują się w tło – dekorację. Na środku sceny, nieco w głębi, ciemnawy pokój z oknem zawieszonym starym, wytartym kocem „przepuszczającym czerwień pożarów, przepuszczającym błyski rakiet”.

Aktorzy wiodą dialogi w kameralnej i zarazem imponująco monumentalnej oprawie. Żadnej innej powieści Zambrzyckiego, poza *W oficynie Elerta*, nie przesycą tak silnie pierwiastek umowności, teatralności.

*Kwaterę* otwiera szaleńcza, awanturnicza partia hiszpańska, którą rozegrali w 1865 roku we Wrocławiu dwaj wybitni zawodnicy: Johannes Zukertort (1842–1888) i Adolf Anderssen (1818–1879). Autor pozwolił Quadratusowi i panu Wincentemu na wierne powtórzenie posunięć mistrzów. Pozornie nic niepokojącego. Złożył po prostu hołd „słynnym szachistom, przeważnie Żydom, z posunięć drewniakami na kratkowanej ceracie tworzących arcydzieła logiki, pomysłowości i dowcipu”.

Dlaczego jednak, zaledwie parę kartek później, nie powstrzymał się od wstawienia jakiegoś Kantorowicza w rejestr ofiar turniejowych doktora Walberga? Po co, u licha, zmyśla i wciska między prawdziwych tuzów: Siegberta Tarrascha (1862–1934) i Ksawerego Tartakowera (1887–1956) – fikcyjnego Kantorowicza? W dodatku groźnego!

Za znak firmowy tej prozy można uznać mistyfikację. Mistyfikację pojmowaną jako esencję literatury, odtrutkę na zbyt uciążliwą, dokuczliwą realność.

Od schyłku XIX wieku na Żurawiej 41 funkcjonowała Czytelnia Naukowa Jadwigi i Władysława Dawidów – bezpośrednia poprzedniczka współczesnej Biblioteki Publicznej m. st. Warszawy. Pomysły twórcze Zambrzyckiego, zakotwiczone w przeszłości, mają zawsze solidne fundamenty. Fikcję najlepiej rozstrzyga się z konkretem. Cudze biografie zaś z własnej, bo mieści się w niej przecież tyle wątków otwartych a niespełnionych, że materiału dość na hipotetyczne przmiarki. Choćby i cztery...

Zambrzycki szanuje „rzeczy widziane i słyszane”, zakorzenione w tradycji. Wszelako oswoiwszy je erudycyjnymi lekturami, nie powstrzyma się nigdy przed pokusą dopowiadania ewentualnych losów czemuś, co mogłoby przebiec odmiennie. Rozpatruje warianty, bada poboczne tropy, krzyżuje alternatywne ścieżki. Kręci, płacze i przeinacza fakty. Podżega do pozagrobowych korespondencyjnych kłótni przyjazne sobie osoby. Miesza cytaty, myli celowo ich źródła, wynajduje księgi nieznane bibliografom. Legalizuje fikcję świetnie podrobionymi dokumentami.

Ciężko go przyłapać. „Falszerz jest uczuciowcem, [...] marzycielem, kocha swe dzieło i chciałby je doprowadzić do formy doskonałej”.

W 1939 roku, sumptem Związku Propagandy Turystycznej Ziemi Wileńskiej, wyszedł spod prasy *Przewodnik po okolicach Wilna w promieniu 100 km* Mariana Morelowskiego. Dziś to biały kruk, niemniej trafia się na półkach antykwariatów. Morelowski informuje odręcznie na ocalałych tomach: „Druk niniejszego przewodnika, kończony w czasie bombardowania Wilna, nie mógł objąć ani karty tytułowej, ani indeksów, a nakład ostatnich stron [...] przepadł w 90 procentach wskutek konfiskaty drukarni przez okupantów [sowieckich]”.

Przyjrzyjmy się uważniej królewskiemu szelmostwu Quadratusa – broszurze o utalentowanym wiedeńskim rzemieślniku-artyste, Joachimie Biedermeierze. Zambrzycki niby wyłożył tu karty na stół i bawi się westchnieniem Tatar: „Szkoda chłopca, [...] był dobry stolarz” szczerze, razem z nami. Cyzelując mistyfikację, precyzyjnie powiadamia: „Wydrukowano tysiąc egzemplarzy, z czego prasowym recenzentom wysłałem czternaście, pięć rozdałem, a w domu został mi jeden”.

Do 1944 roku ocalało tedy dziewiętnaście egzemplarzy (dwudziesty zaginął w zburzonym mieszkaniu przy ul. Emilii Plater). Mistyfikacja? Przypadki lubią chodzić parami.

A co z drzeworytami Alabastra, patrona Ziemi Kurpiowskiej? Tatar odbił ponoć dwieście podobizn Kopernika z konwalijką.

\*\*\*

Afrykander, Quadratus, Tatar i pan Wincenty. Postaci nie byle jakie! Dziwacy, oryginały i trochę... fioły! „Warszawa była miastem przyjemnych maniaków”.

Lekarz, dziennikarz, inżynier i doktor nauk humanistycznych. Cztery życiorysy, cztery osobowości, cztery religie. Porządnie wykształceni przedwojenni inteligenci. Dobrali się w korcu maku.

To Polacy z krwi i kości, ale i pełnoprawni Europejczycy. Znają języki, obyczaje, historię – w Europie są u siebie. Przerzucają się anegdotami, licytują na wrażenia, skojarzenia, smaki, zapachy, obrazy z miejsc niegdyś odwiedzonych. Układają mozaikę tysięcy drobiazgów podawanych z całym zanikającym wdziękiem łacińskiej kultury zachodnioeuropejskiej. W ich pięknym, dziewiętnastowiecznym w istocie świecie, powoziło się samochodem, siedząc „na wysokim koźle i kręciło pionową kierownicą”. Przepytywanie z kanonu wielkiej literatury brzmiało niestosownie.

Jeśli Tatar z Quadratusem chcą wynająć kogoś, kto pomściłby na myśliwych honor pana Wincentego, nie przyjdzie im do głowy opryszek w cyklistówce i z kastetem. Wybiorą „bravo” zbrojnego w pióropusz i szpadę, rodem z *Narzeczonych* Alessandro Manzoni (przekład Barbary Sieroszewskiej):

Już dnia 8 kwietnia 1583 roku Jego Wysokość Jaśnie Oświecony don Carlos d’Aragona, książę na Castelvetro, diuk Terranuova, margrabia d’Ayola, hrabia Burgeto, wielki admirał i konetabl Sycylii, gubernator Mediolanu, wódz naczelny Jego Katolickiej Królewskiej Mości w Italii, „szczegółowo powiadomiony o srożej nędzy, w jakiej żyło i żyje miasto Mediolan z racji *bravich* oraz włóczągów”, wydał przeciwko nim dekret, w którym „oznajmia i wiadomym czyni, iż dekret wymieniony dotyczy wszelkich *bravi* tudzież włóczągów, którzy czy to obcy, czyli w księstwie urodzeni, do nijakiego nie przynależą rzemiosła lub przynależąc, takowym się nie trudnią, lecz oddawszy się w opiekę jakowemuś szlachcicowi, oficyerowi bądź też kupcowi, z żołdem alibo bez, zaliczeni są w jego poczet rzekomo gwoli dostojności, a prawdziwie ku czynieniu gwałtów”.

Afrykander, Quadratus, Tatar i pan Wincenty wiedzą, że wraz z nimi przemiąja nieuchronnie pewna epoka, tak jak niegdyś zniknęło z map najbarwniejsze i najmniejsze państwo świata, Moresnet. Dobiaża kresu francuska, frankofońska „la belle epoque”.

Panowie widzieli i przeżyli niejedno. Mają co wspominać i pochylają się z zadumą nad czasami młodości. Bez goryczy. Ustanowili „zakaz poruszania tematów przygnębiających” i sumiennie go respektują. Należy zapamiętać tylko rzeczy dobre i pogodne. O złych nie warto mówić.

\*\*\*

*Kwaterna* jest mądrą i dobrą książką.

Afrykander wierzył w anielską maskaradę. Widywał aniołów przebranych za zwykłych ludzi, widywał ich wszędzie [...]. I chętnie o tym opowiadał.

Doktor Walberg przydźwigał z mozołem ostatnie wiadro wody. Powstanie dogorywa, bronią się polskie forteczki. Afrykander stopniowo oddala się od przyjaciół. Coraz rzadziej wpada na Żurawią; dobrowolnych obowiązków w szpitalu przybywa. Wymizerowany, zmęczony pomaga rannym – posługuje ludziom i zwierzętom. Karmi ptaki, „grzecznie do nich gadając”. Dowiadujemy się, że służy do mszy „ubrany w biały kitel lekarski ze znakiem czerwonego krzyża”.

Niepostrzeżenie dokonuje się tajemnica przemienienia. Ten, który chciał uciec od życia, bodaj i na pustynię afrykańską, znajduje spokój w środku kataklizmu – niosąc pomoc bliźnim. Powoli, nieuchwytnie, opuszcza fizyczny wymiar. Blednie jego cielesna powłoka, traci wagę, ulatuje, przeistacza się w czystą dobroć, leciutką jak martwy gołąb tknięty odłamkiem, jak duch gołębia.

– Księżę dobrodzieju, na biodrach zmarłego przyjaciela znaleźliśmy ten oto powróż. Zdaje się, że to surowa wełna.

Książdz oglądał kłębek z wyraźnym zaciekawieniem. Rozwinął, zwinął i oddając panu Wincentemu oznajmił:

– Tak, to surowa wełna. Przyjaciel panów był franciszkaninem.

Ów powróż, „cingulum”, opasuje habity regularnych zakonników. Afrykander – świecki tercjarz – założył włosienicę, wstępując do powołanego w 1221 roku III Zakonu Św. Franciszka.

Kulminacją, zwieńczeniem wątku „anielskiej maskarady ujawnionej” będzie nie śmierć człowieka i pogrzeb, lecz misterium wspólnego odmawiania litanii do Matki Boskiej. Przez wszystkich zebranych na podwórzu. Niezależnie od wyznania.

\*\*\*

Urzeka styl *Kwaterny* – stonowany, elegancki, nieagresywny. Niedzisiejszy. Autor starannie przestrzega manier i surowo je egzekwuje. Nie zawaha się przerywać, w pół zdania, nawet najlepszemu narratorowi, Quadratusowi: „Proszę cię bardzo, bez gminnych epitetów”!

Na zapleczu wypożyczalni panuje spokój. Gospodarz i goście taktownie tolerują swoje wady i słabostki, a nieraz pokpiwają z nich, puszczając oko do czytelnika. Elegancja językowa nie przeszkadza humorowi. W zabawnej apologii „niezawodnych pigulek Cascarine Leprince” Zambrzycki nie stroni wręcz od dosłowności. Jego żarty, nienatrętne, sugerowane mimochodem, wywołują uśmiech – nie gromki śmiech.

Czy Tatar faktycznie nie wie, że inżynier ratujący chorą wątrobę homeopatią wcale nie był fujarą i pan Wincenty nie musi odwoływać się do „schematu logicznego Emila Boutroux”, by to zweryfikować? Inżynier stosował sprawdzoną wiedzę, spożywając – zapewne rankami – małe dawki substancji, w ilościach wieczornych szkodliwe dla organizmu.

Panowie czasem rozprawiają uczenie, tocząc dysputy teologiczne, a czasem, ot tak, by pogadać, nacieszyć się towarzystwem. Kiedy poniesie ich werwa – plotkują. O Albercie von Schrenck-Notzingu pan Wincenty rzuci od niechcienia: „Mam obawy, że go zamordowano”.

W 1894 roku w zamku Todora Salamona w Tuzsér na Węgrzech odbył się feralny seans hipnotyczny, w trakcie którego zmarła dwudziestodwuletnia Ella, córka właściciela posiadłości. Podniósł się szum prasowy. Na łamach bulwarówek i poważnych periodyków dyskutowano zawzięcie o niebezpieczeństwach eksperymentów psychologicznych wymykających się spod kontroli. Fenomen władzy nad umysłem ludzkim fascynował. Schrenck-Notzing forsował tezę, że osoba pogrążona w transie zdolna jest do zabójstwa na rozkaz. Po latach płachty gazet pożókły, imiona i opinie zatarły się, zlały w niewyraźny powidok.

Hipnoza, mediumizm, czary, mary, widma, aporty guldenów gdańskich z kasyna w Sopocie, zjawy, uprzejmie zanurzające twarze w misce z podgrzaną, płynną parafiną...

W międzywojniu seansowario namiętnie – tak jak łupano w brydża. Jedną z najpokaźniejszych w Warszawie kolekcji parafinowych odlewów ciał astralnych, liczącą prawie sześćdziesiąt modeli, posiadał generał Mariusz Zaruski (1867–1941). Przygotowywany do druku opis jego doświadczeń spirytystycznych uległ niestety zniszczeniu na Żoliborzu, podczas nalotów niemieckich. Tatar nie kłamał, obiecując dostarczyć na Żurawią materialne dowody na istnienie zaświatów.

Tyle jeszcze na świecie ciekawych historii do wysłuchania. Tyle „przypadków dziwnych, niezrozumiałych, z trudem pod zmysły podpadających”.

\*\*\*

Trzeciego października 1944 roku, około drugiej w nocy, podpisano kapitulację Powstania Warszawskiego. „Krnąbrne miasto” poddało się. Od godziny piątej obowiązuje zawieszenie broni.

Koniec. Przed Quadratusem, Tatarem i panem Wincentym długa droga w nieznanie; przebiega ją „szkaradny czarny kot, mokry i ubabrany w błocie”. Dobrze, że przynajmniej udało się rozwikłać zagadkę korzeni wrzосу wykopywanych w Hautes Fagnes. Stempelek „Racine de bruyère” na fajce Tatara był rzetelny. W tłumie wychodźców znalazł się i paleobotanik – uczyony mąż z „rzadkiej odmiany profesorów”.

Erica arborea!